

Die 4 novembris n. st., 25 octobris st. st.
Pole pod Czernihowem, o zmierzchu

Carskich wojewodów postawiono przed obliczem Dymitra tego samego wieczoru, we czterech, bowiem dodano im jeszcze jedną okazałą personę – Piotra Chruszczewa, wyciągniętego przez Kozaków za brodę z chlewika w niedalekim Wielgorodzie, gdzie zamysłał przeczekać w spokoju polsko-zaporoską nawałnicę. Zapewne zamierzał później drapnąć w chrusta i nie zatrzymać się aż przy murach Moskwy. Chruszczew miał prawdziwe powody, aby obawiać się gniewu Samozwańca, bowiem Borys Godunow posłał go z misją pobuntowania Kozaków stojących wiernie przy Dymitrze. Więc teraz szedł niemrawo, dźwigając ciężar wielkiego, tłustego brzucha i własnej nadszarpniętej dumy, sponiewierany i utyłany w błocie i łajnie przez Kozaków. Wyglądał zgoła jak mąż Baby-Jagi, której istnienia nie zdołał do tej pory potwierdzić ani cesarski poseł Siegmund von Herbertstein, ani uczeni Angielczycy: Richard Chancelor i Giles Fletcher starszy.

Dymitr czekał na nich za bramami Czernihowa, przy namiocie, który rozpostarli słudzy w oczekiwaniu na zdobycie miasta i wynik pertraktacji z Moskalami. Gdy postawiono przed nim carskiego wysłannika i wojewodów Tatiewa, Szeremietiewa i Izmajłowa, Moskale runęły na kolana. Wszelako wyprzedził ich Chruszczew, który zamiast klęknąć, po prostu padł plackiem na widok Dymitra.

– Cariu, gosudariu! – załkał. – Wasze Carskie Wieliczesstwo! Łaski, zmiłowania ja was proszu! Ja wasz rab, wasz chołopiszka czarny. Ja nie winowaty! Spasite mene, carewiczu jasny, otpustitie winy, skarajcie, ale i pożałujcie sługę wiernego twego brata i ojczulka Iwana!

– Dobrze gada – mruknął Przybyłowski do Dydyńskiego. – Carowie, jak nasi świeżo wzbogaceni magnaci, mają uszy poniżej kolan.

– Bierz go bladiuna! – zakrzyknął niski, pokryty bliznami, zwinny jak lis ataman Piotr Koreła. – Na pohybelże z nim, Wasza Carska Mość, albo w żopu palik zastrugany wrazić! To on u nas, Kozaków, przeciw waszej miłości brechał, żeś nie jest carewiczem najjaśniejszym, ale impostorem, rostrygą i carzykiem! Samozwańcem!

– Przyszliśmy tu z deputacją – zagadał Petr Nalewajko, sotnik Zaporozców z Ukrainy – Waszej Carskiej Mości do nóg upaść i prosić, aby tego moskiewskiego wieprzka – tu wskazał na Chruszczewa, który mimo mrozu pocił się jak w łaźni – wiernym mołojcom wydać. A my już z nim poigraty i potańcowaty!

– Hu, hu! – zakrzyknęli pozostali dzicy, kosoocy Dońcy i Zaporozcy.

– Wasze Carskie Zmiłowanie! – zajęczał cienko Chruszczew i przezornie zaczął pełznąć po śniegu w stronę safianowych baczmagów Dymitra. – Pożałuj! Zlituj się, carewiczu najjaśniejszy, słońce ziemi ruskiej...

– My też – rzekł Dydyński, kłaniając się dwornie przed carewiczem, bo cała scena zaczęła mu się nagle podobać – jako towarzystwo znaków husarskich i kozackich prosimy uniżenie, aby Wasza Carska Mość pozwolił nam wziąć tego tu knura w obroty. Ot, popędzimy go batożkami po śniegu, poszczwamy jak zająca, a potem po kawalersku zetniemy! Zimno panom braciom na śniegu, a tak będzie rozrywka i rozgrzewka.

– Dawaj z nami, Chruszczew! – zarechotał Przybyłowski i chwycił carskiego wysłannika za kołnierz u ferezji z takim

skutkiem, że wszyscy usłyszeli trzask sobolego futra oddzielnego razem z kawałkiem materiału.

– Puście go! – rzekł groźnie Dymitr.

Podszedł do jęczącego słabo Chruszczewa, a potem niespodziewanie pochylił się nad nim.

– Wstań.

Oczy bojara zrobiły się okrągłe niczym dwa księżycy w pełni. Posłusznie poderwał się z ziemi, przy czym ze względu na znaczną objętość żywota i to, że ręce miał związane z przodu, najpierw prześmiesznie przewalił się na bok, a dopiero potem dźwignął ze śniegu i błota.

I natychmiast omiół długą brodą carską dłoń.

– Nie będzie ani szczwania, ani pała, ani knutowania – powiedział carewicz. – Jestem prawym następcą, Dymitrem Iwanowiczem, umiłowanym batiuszką mego nieszczęsnego ludu, któremu zdejmę okowy Godunowa z rąk i włożę na serca! Jakże ja mam karać sługę za to, co kazał mu czynić jego pan? Piotrze Iwanowiczu, daruję ci zdrowie i życie, a że jesteś z szat obdarty, tedy ci ofiaruję nowe z carskiego skarbcza! Mnie, chrześcijaninowi, nie przystoi odplacać złem za zło, a jedynie dobrem. Dalejże, rozwiązać go!

Koreła splunął zamaszycie, a potem dał znać Kozakom, by przecięli więzy. Chruszczew zrazu nie wiedział, co robić. Podniósł oswobodzone ręce do brodatej gęby, obejrzał się na Polaków i Kozaków, przeniósł wzrok na Dymitra i... padł na kolana.

– Z Bożej miłości wielkiego gosudara cara i wielkiego kniazia Iwana Wasylewicza, batiuszki naszego, wszystkiej Wielkiej i Małej, i Białej Rusi dzierżawcy i wielu gospodarstw, i ziem wschodnich i zachodnich, siewierskiego dziedzica i następcy, i Gosudara Władcy, Jego Carskiego Prześwietnego Wieliczeństwa, tyś prawy syn jest! Dymitr Iwanowicz, carewicz, książę uglicki! Podobnyś ty do batiuszki naszego kochanego jak kropła wody!

Tu obcałował dłoń Dymitra, jakby to był paznokieć Mikołaja Cudotwórcy albo kuś Mojżesza zwanego Węgrzynem, który

znalazłszy się w polskiej niewoli za Bolesława Chrobrego, nie chciał go wrazić w łono pięknej Laszki kuszącej wdziękami. Co okazało się zgoła nierozsądne, bo rozzłoszczona Lachinia kazała go wybatożyć, a potem, jak pisał ruski kronikarz: *otrie-zat tajnyje czlony*, przysparzając tym samym Cerkwi kolejnego męczennika.

– Święty batiuszko prawosławnej Rusi! – łkał tymczasem Chruszczew. – O przebaczenie, zmiłowanie ciebie, carewiczu najjaśniejszy, upraszam. Nie odtrącaj mnie jak sobaki, bo z wdzięczności za litość chcę się mienić sługą twoim wiernym... Jam zełgał, szarpałem imię twoje, bom nie wiedział, że żyw jesteś, gosudarze nasz prawy... O ja głupi, o ja małej wiary!

– Wstań, słuگو i przyjacielu – odparł Dymitr. – A jeśli chcesz nas zapewnić o swojej wierności, tedy ucałuj chrest! – Podsunął mu diamentowy krzyż, a Chruszczew wycałował go tak gorliwie jak świeżo poślubioną dzierlatkę.

Dymitr odwrócił się do carskich wojewodów, stanął nad nimi chmurny i zamyślony.

– Chcę być waszym ojcem, a nie tyranem – rzekł. – Dlatego daruję wam życie i mienie. Wracajcie do swego cara i powiedzcie mu, że Dymitr Iwanowicz, którego kazał urezać w Ugliczu przed laty, wrócił po swoje dziedzictwo. Niechaj Godunow wygląda mnie w Moskwie. Niechaj nie zna dnia ani godziny, gdy stanę w drzwiach Granitowej Pałaty.

– Carewiczu najjaśniejszy! – jęknął najmłodszy z wojewodów, ten sam, który rozmawiał z Buczyńskim przy bramie kremla. – Nie wiem, jak moi bracia wojewodowie, ale ja, Andriej Jakowlewicz Izmańłow, nie wrócę do Godunowa! Przejrzałem na oczy jak niedowiarek, niby poganin, co ujrzał światłość Pana. Nie będę służył tyranowi! Przyjmij mnie, gosudarze, na swoje usługi, przebacz winy, a będę ci służył wiernie aż po kres twych dni!

– Daruj i nam! – zaintonował Szeremietiew, pobrzękując łańcuchami, w które gwoli prawdy sam kazał się okuć, aby nie doszło czasem do cara, że z własnej i nieprzymuszonej woli

poddał największe miasto na Siewierszczyźnie. – I nie wyganiaj sprzed oblicza.

– Będziemy ci służyć, najjaśniejszy carewiczu – do chóru dołączył trzeci z wojewodów. – Jeśli wybaczysz nam odstępstwo i raczysz dać chrest do ucałowania.

– Dam chrest do ucałowania – westchnął Dymitr. – Niechaj rozniesie się po wsiej Rusi, że umiem wrogów zjednywać i wzorem Jezusa Chrystusa wybaczać winy i błędy! Wstań, Iwanie Andrejewiczu, i ty, Fiodorze Iwanowiczu. Podejdźcie do mnie w pokorze.

– Naczytał się chłopaczyna pism Cezara u Mniszców – mruknął Przybyłowski. – Ale zapomniał, że w Moskwie można Pompejuszów i Katonów ze świecą szukać! I to szukać szybko, zanim ich czerń i bojarzy nie zaduszą!

– Przecież Moskwa – trzeci Rzym. To źle, że jak Cezar postępuje?

– Nie kracz, waść, bo jeszcze się nam Rzeczpospolita okaże Kartaginą.

Wieść o nadzwyczajnej dobroci Dymitra poszła już w Ruś; na razie tę przebywającą w obozie carewicza. Jęk zawodu podniósł się między moskiewskimi stronnikami carewicza, kiedy z ust do ust szła wieść, że nie będzie spodziewanej krwawej karni wojewodów. Nie stanie dla nich świeżo zastrugany palik ani nie ucieszy oczu grzeczna szubieniczka. *Słyszano to?* – gadali między sobą Moskiewscy. *Można by ich choć dla zdrowia i przyzwoitości wyknutować! Albo w jamie potrzymać. Dobry car – słabyj car* – szeptano.

Dymitr nie przejmował się tym prawie wcale.

Die 15 novembris n. st., 5 st. st.
Trakt do Nowogrodu

W Czernihowie nie zabawili dłużej, niż było konieczne dla wypoczynku ludzi i koni. Gdy tylko nadciągnęły nowe sotnie

Kozaków zaporoskich i Dońców, carewicz poderwał armię do marszu na Nowogród, silny, dostatni, drugi co do wielkości gród Siewierszczyzny. I już drugiego dnia przypomniał, że walkę prowadzi nie tylko lewem, ale i prawem – ogłoszono bowiem gramotę sporządzoną przez Buczyńskiego, podpisaną przez Dymitra, a rozrzucaną po miastach i jarmarkach przez szpiegów i wichrzyce chcących podburzyć do buntu Moskali. Ponieważ pismo miało poruszać umysły proste i niezmaczone nauką jak woda w bajorze, treść była krótka i surowa. W sam raz dla umysłów Moskali:

Ja, car i wielki książ, z bożą pomocą idę na tron przodków naszych w Moskwie i na wszystkie państwa ruskiego cesarstwa. Dlatego od zdrajcy Borysa Godunowa oderwijcie się i przychodźcie do nas, swego pana rodzzonego.

Dymitr Iwanowicz. Carewicz i wielki książ wszystkim Rusi. Wszystkich carstw tatarskich i mnogich państw wielu.

Tymczasem wzrastały siły carewicza. Dworycki rozgłaszał wszem wobec, że było ich już nie mniej niż jakieś sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Przed carewiczem zniżał tę liczbę do czterdziestu, wszelako nad kuflem piwa i czarką gorzałki przyznawał Dydyńskiemu, że trudno w boju będzie liczyć na coś więcej niż Polaków, Kozaków i garść wolontarzy.

Traktami i bezdrożami ciągnęło zatem na Nowogród jakieś trzy tysiące polskiej jazdy husarskiej i kozackiej oraz szlacheckich wolontarzy, sześć tysięcy Kozaków dońskich i zaporoskich, którym przewodził Litwin Szczęsny Świrski, pół tysiąca piechoty oraz dwadzieścia cztery działa. Reszta – były to zwykłe watahy chłopskiej czerni, zbrojni mieszczanie i posadzczy ludzie, których liczebność oszacować było trudniej, niż zliczyć ziarna zboża na przetaku. Jednego dnia bowiem przychodzili, innego wiatr wywiewał w stępy całe ich gromady. Do rabunku okazywali się pierwsi, było też prawie pewne, że kiedy dojdzie do spotkania z wojskiem cara, pokażą prędzej plecy i siedzenia

niż bojowe oblicza. Jednak ich obecność sprawiała, że armia Samozwańca wydawała się wielka i potężna, a kiedy Buczyński poradził prowadzić chorągwie i pułki w dużych odstępach, zastępy Dymitrowe zdawały się kroczyć naprzód niekończącym się szeregiem.

Wszędzie witano ich chlebem, solą, błogosławiono ikonami, tak iż Dydyński i inni towarzysze husarscy myśleli, że może będzie tak aż do samej Moskwy, a tyran Godunow zostanie starty z powierzchni ziemi przez własnych poddanych, tak iż Polacy nie będą musieli nawet wyjmować szabli.

Na razie zaś stan majątkowy pana stolnikowica dzięki rabunkowi Czernihowa prezentował się zgoła zadowalająco. Na wozach taborowych jechało bowiem za nim, poza moderunkiem zabranym z Dydni:

- *kożuchów sobolowych 3*
- *szłyków marmurkowych 2*
- *rubli 40, dukatów 100, dzień w różnej monecie 264*
- *zapona diamentowa sztuk 1*
- *zawieszę z kamieniami cudnych sztuk 3*
- *kielich srebrny, misterną sztuką ozdabiany i wytworny*
- *patera złota rubinami i perłami wysadzana*
- *pacierze perłowe na kształt wielogrochu*
- *złota skrzyneczka z perłami*
- *pierścieni wielkich z diamentami, rubinami i szmaragdami sztuk 4*
- *noże dwa, jeden diamentami sadzony, drugi handżar z różnymi kamieniami*
- *tudzież 8 postawów złotogłowi tureckiego.*

Rachunki prowadził stolnikowic sumiennie i skrupulatnie jak Żyd, a wszystkie łupy warte były summa summarum jakieś pięćset złotych polskich. Ponadto zdobył pan Dydyński dwa dropiaste woźniki do kolasy, był więc zdecydowanie bardziej do przodu niż do tyłu.

Jechali w gromadzie towarzyszy husarskich, przechwalając się łupami, pociągając z bukłaków i baryłek, znudzeni i rozleniwieni. Czterdzieści gardeł śpiewało starą polską wojskową pieśń o żołnierzu tułaczku:

*Idzie żołnierz borem, lasem
Przymierając z głodu czasem*

*Suknia na nim nie blakuje
Dziurami wiatr przelatuje*

*Chociaż żołnierz obszarpany
Przecie ujdzie między pany*

– wyśpiewywali Rudomina i Dydyński, którzy ledwie przestali kłócić się o to, czy złociste guzy na karmazynowej ferezji zrabowanej w Czernihowie są nabijane prawdziwymi rubinami, czy fałszowane z czerwonego szkła.

*Trzeba by go obdarować
Soli, chleba nie żałować...*

– ryczał pan Mikołaj Przybyłowski, ogryzając w siodle wieprzową nogę i zapijając tłustość zdobyczym węgrzynem z bukłaka.

A potem już wszyscy włączyli się do chóru:

*Lepiej w domu iść za pługiem
Niż na wojnie szlakiem długiem*

*Bo na wojnie pięknie chodzą
Po kolana we krwi brodzą.*

Akurat mijali obozowisko, w którym zatrzymała się rota hajduków pana wojewody Mniszcha. Pieśń zmieniała się na od-

powiedniejszą do tej sytuacji; doskonale wyrażającą fantazję i nastroje skrzydlatych jeźdźców spoglądających z góry na pie-sze wojska:

Pistolet – bandolet
Muskiet – widły
Pika – tyka
Sak – obrzydły
Kabacik – rabacik
Kuczma, pas
Przez błoto piechoto
Dymaj w las!

W ogóle wszyscy byli tak znużeni drogą, śniegiem i moskiewskimi wertepami, a nade wszystko nudą, obżarstwem i pijaństwem, że na popasach, kiedy towarzystwo różnęło w karty, Dydyński nie odróżniał już dzwonkowego tuza od żółdnej kralki. I pewnie dlatego nie obronił się królem, gdy Przybyłowski pierwej założył kinalem, w następstwie czego kielich srebrny, misterną sztuką ozdabiany i wytworny, który stolnikowic postawił do puli na grę, nagle ulotnił się z jego łupów. O co zły pan Jacek do samego wieczora.

Było południe dnia szesnastego listopada nowego stylu, kiedy z pokrytych śniegiem zarośli wypadła nagle kozacka czata wysłana na zwiady. Zaporozcy pędzili na spienionych koniach, wymachując z daleka czapkami, krzycząc i hałkując po tatarsku.

Dymitr zatrzymał konia, czekał z buławą w rękę na ich powrót. Zdyszani, spoceni, woniejący prochem i gorzałką Kozacy runęli do kopyt jego konia.

– Cariu, gosudariu! – krzyczeli jeden przez drugiego. – Nowogród! Basmanow!

– Co się dzieje?! – zakrzyknął Buczyński. – Uciszcie się!

– Cariu prawosławny, Wasze Wieliczesstwo! – jęknął zaporoski setnik. – Basmanow, carski ulubieniec! Posad w Nowo-

grodzie spalił. Zamknął się ze strzelcami na kremlu! Ściany opatrzył, działa narychtował. Bić się będzie!

– A zatem Nowogrodu dobędziemy!

– Carewiczu najświętszy! Nic to jeszcze! Hore nam się stało!

– Mów składnie i jasno!

– Borys Godunow wysłał na Siewierszczyznę kniazia Mściśławskiego... A z nim sześćdziesiąt tysięcy wojska!

Dymitr zmarszczył brwi, a potem przeżegnał się.

– Mości panowie, trąbić na alarm. Wojna! Da Bóg, aby była zwycięska.

Husarze, kozacy rzucili karty i kości.

Zabawa była skończona.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki